Tom VI. Nr. 15.

21. Maja 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

August drugi, król polski.

II. Świeża wojna ze Szwedem.

Uporawszy się z Turkiem, który musiał oddać długo ciemiężone Podole, począł się *August* brać do porządku wewnątrz kraju, i byłoby wszystko dobrze poszło, gdyby nie *Piotr*, car moskiewski, co do Polski zjechał, chcąc gwałtem zrobić znajomość z Augustem. Było to w *Rawie* ruskiej, w miasteczku o pięć mil od Żółkwi odległem, r. 1698. Car moskiewski przyjechał ze swoją świtą a nasz Sas ze swoją, i tu dopiero przy ucztach przyrzekli sobie obadwaj monarchowie przyjaźń i pomoc wspólną. A nie było im trudno zgodzić się na jedno i przylgnąć do siebie, bo moskal z niemcem zawsze się pokuma, a król August, jak wiecie, z rodu i z obyczajów niemcem był nieodrodnym. Miło mu było, że biesiaduje razem z potężnym władzcą moskiewskim, którego nawet Wielkim nazywano, podczas gdy car Piotr łasząc się i zaprzyjaźniając, obracał tylko wodę na swój młyn, gdyż miał zamiar uderzyć wspólnemi siłami na Szweda i podbić jego kraje.

— Na tron szwedzki wstąpiło teraz nowe królewiątko — mówił on do Augusta — chłopczyna młody, bo ledwie szesnaście lat skończył, więc nie będzie nam trudno zwyciężyć jego królestwo.

Zgadzał się na wszystko i przyrzekał swą pomoc król August, ale nasi panowie kręcili nosami na to kumostwo z Moskalem, jako że my jak świat światem będziemy mieli wstręt do Moskali, a cóż dopiero do cara Piotra, takiego okrótnika i tyrana, co swoim poddanym brody gwałtem golił na niemiecką modę, a gdy go kto nie usłuchał, to mu w łeb i kwita! Krzywo na to patrzyli panowie, biedę tylko z tej przyjaźni wróżąc, lecz trudno było temu co poradzić. Car i nasz Sas rozjechali się w wielkiej zgodzie i przyjaźni, niezadługo zaczęli ściągać wojska, a równocześnie rozchodziły się ciche pogłoski o wielkiej wyprawie na Szweda.

W szwedzkim kraju był rzeczywiście podonczas młody chłopczyna na tronie, którego zwano *Karolem* dwunastym; ale pomimo swoich lat młodych, miał ten chłopczyna rozum niepośledni i lwią odwagę do każdej rzeczy. Skoro więc zasłyszał o zmowach na swoje królestwo, nie przepomniał uzbrajać i pomnażać wojska, aby należytą siłą wszelkie napady odeprzeć. Car Piotr i August nie żartowali także, ale im się nie wiedło: Car zebrał do 80 tysięcy żołnierza i wyruszył z tem na Szweda, lecz choć mądry i Wielki, został przez 20 tysięcy Karolowego wojska na łeb na szyję pobity; a nasz August ściągał do Polski swoich Sasów gromadę za gromadą i zbroił na nieprzyjaciela, ale miał już dość biedy od swoich, od Polaków, którzy się wiecznie ze Sasami gryźli.

Tymczasem Karol zesiekawszy na bigos potężne wojska carskie, posłał jedną część swoich na moskala, a z inną wkroczył do Polski, nie dbając nato zupełnie, że naród do jego krzywdy wcale się nie przyczynił. Więc ze Szwedem, choć to była rzecz wielce zdrożna, łączyli się niektórzy Polacy przeciwko królowi, który więcej o Sasach jak o Polsce pamiętał, i ztąd powstały kłótnie i przyszło niezadługo do starcia niedaleko miasta *Pińczowa* pod wsią *Kliszowem*. Sasów i naszych niektórych było 24 tysiące, a Szwedów o wiele mniej,

jednak Sas przegrał do szczętu. Zaraz też po tej wygranej ruszyli Szwedzi ku Krakowu, zajęli to miasto i dalejże przebiegać wzdłuż i wszerz całą Polskę, niewiedzieć zaco paląc i pustosząc wsie i miasta nasze.

Po onej nieszczęśliwej bitwie przeszło jeszcze więcej naszych do Szweda, tak, że nawet Prymas ogłosił, iż August Sas przestaje być królem. Dopieroż zrobiło się zamięszanie! Król chcąc się ratować, zwołuje czemprędzej panów na naradę, i przyrzekłszy wszystko co tylko chcieli, wstępuje z niektórymi w związek czyli konfederację ziemi Sandomierskiej przeciwko Szwedowi. Ale się to już wszystko nie kleiło, bo nie było w kraju szczerego i serdecznego przywiązania do Sasa. Tymczasem Szwed sprawy nie zasypiając, plądruje kraj po zbójecku: z miast, ze szlachty i z wiosek wyciska pieniądze, zabiera wszystko z domów możniejszych jak swoje, czy to z odzieży, z książek czy też z kosztowniejszych sprzętów, i wszystko zaraz morzem do Szwecyi posyła. Aż się też naszym sprzykrzyły gdzieniegdzie one łupiestwa, i tak sobie gromadą, bez króla i bez hetmana napadali, dobrze Szwedowi rogów przycierając. Zaczął więc Szwed głosić, że on tu nie na poddanych jeno na króla Augusta z wojną przyjechał, i że da święty pokój krajowi, jeżeli tylko szlachta i wszyscy wyrzekną się Sasa, a tego przyjmą za króla, którego on zechce. I nie zwlekając ogłasza Karol szwedzki królem przyjaciela swego polaka *Leszczyńskiego* Stanisława, wojewodę poznańskiego, który miał odrazu dosyć zwolenników, jako że był przeciw Sasowi i przeciw sandomirskiej konfederacji inną konfederację zawiązał, która się Wielkopolską przezwała.

Byłoto w lipcu 1704 roku. Za wpływem Szwedów i wielkopolskiej konfederacyi, zjechało się trochę szlachty niby to na elekcyę do Warszawy, a w rzeczy na to, aby wobec armat szwedzkich ogłosić królem tego, którego Karol już poprzód ogłosił. I gdy się nikt, mój Boże, przeważnej woli wrogów nie sprzeciwił, włożono Leszczyńskiemu koronę na głowę, jako prawemu królowi. Świętokradzka ręka wrogów rozdarła ojczyznę naszą i naród cały na dwie nieprzyjaźne połowy, i cieszył się

z tego szatan, bo nieraz tam gniew się budził w sercach bratnich, i nieraz krew bratnia ojczystą ziemię broczyła.

Więc była chwila ta początkiem zupełnego już rozdarcia Polski i rychłego jej upadku; obcy zaczęli się nią opiekować, gdyż oto, Sas August widząc, że mu chyba sromotnie z Polski uciekać przyjdzie, posłał do cara moskiewskiego, prosząc go o pomoc. Zwaliła się więc gromada Moskali do Polski i straszne były wtedy chwile: bo z jednej strony stali Moskale, Sasi i konfederaci sandomierscy, a z drugiej strony Szwed z konfederacją wielkopolską, więc przychodziło do utarczek, gdzie bratnia ręka krew bratnią wylewała. I zdawało się, że już dzień sądny się zbliża, taki był zamęt i taka niedola.

Widząc Szwed, że to Sasa tak łatwo z Polski wykurzyć nie można, bierze się na sposób: oto wkracza do saskiego kraju i zaczyna sobie dopiero tam hulać, paląc wsie i miasta i ludzi mordując. Struchlał August na wieść o tym najeździe i zaczął sobie rozważać co lepiej: czy w Polsce na niepewne o królestwo się dobijać, czy bronić swego rodzinnego kraiku, a widząc że tu nie przelewki, że Leszczyński górą: robi pokój ze Szwedem i zrzeka się polskiej korony. Więc Karol dwunasty dokazawszy swojego ze Sasem, umyślił mścić się na drugim swoim wrogu, i w tym celu ruszył przez Polskę na Moskala.

Ale dobrze to mówią ludzie: niósł wilk razy kilka, poniosą i wilka! I dzbaneczek do czasu tylko wodę nosi, a cóż dopiero z szczęściem ludzkiem, które się raz tu to owdzie przekinie! Owo i Karol dwunasty zwyciężał i bił wszystko na łeb na szyję, a teraz przyszła i na niego kolej grzbietu nadstawić. Wkroczywszy do moskiewskich ziem, szedł sobie z razu jako zwycięzca, i tak obeszedł aż na Ukrainę, gdzie mu car Piotr w 70 tysięcy wojska drogę zastąpił. Przyszło do walnej bitwy pod miastem *Półtawą*, a tu Szwedów tak mocno wykropiono, że sam Karol ledwie w kilkaset ludzi do Turcji uciec zdołał. Złamała się więc potęga szwedzka, a górą stanęli Moskale.

W tropy za klęską Karola zmieniło się wszystko i w Polsce. Szwedzka potęga utrzymywała Leszczyńskiego na tronie, więc gdy jej nie stało, musiał Leszczyński ustąpić, chroniąc

się do Turcji, zwłaszcza że i car Piotr Szwedów rozprószywszy, ciągnął teraz do Polski, chcąc albo Sasa na tron przywrócić albo syna swojego na nim osadzić. Obawiał się August żeby się na drugiem nie skończyło, szle więc swoich posłów czemprędzej z różnemi przyrzeczeniami, sam niebawem za nimi się jawiąc. Nie wiedzieli nasi co robić, ale pomyśleli sobie, że z dwojga złego mniejsze lepsze, i przyjęli napowrót Augusta za króla, bo ich odraza brała do Moskali i ich carewicza.

Tak więc po trzech latach okropnych niepokojów i zamieszek, wrócił znowu sas August na tron polski, Leszczyński uszedł za granicę, a że i resztki Szwedów niebawem się powynosiły, więc znowu był choć na chwilę pokój w polskiej ziemi.

PIEŚŃ

na dobranoc Panu Jezusowi.

O mój Jezu, mój kochany!
Krzyż, toć twarde łoże,
Zdejmę ja Cię z tego krzyża,
W sercu swem położę.

Boś zbolały, zbiczowany,
Okrutnie zraniony,
Proszę, żebyś w sercu mojem
Był uspokojony.

Dusza moja prędko będzie
O to się starała,
Ażeby Cię w sercu mojem
Nic nie przebudzała.

Cicho, cicho, duszo moja,
Niech będzie najciszej!
Niech zasypia w sercu mojem
Jezus mój najmilszy.

Nie kołataj występkami,
Nie budź go grzechami,
Owszem utul jak najprędzej
Świętemi myślami.

Niechże będzie serce moje
Za łóżeczko tobie,
Połóż się w niem słodki Jezu,
A odpocznij sobie.

Zasypiaj o słodki Jezu
W sercu mem cichuchno,
A ja tobie na dobranoc
Zaśpiewam miluchno.

Już dobranoc słodki Jezu,
Me wieczne kochanie,
Proszę, przyjmij za sen smaczny
Płacz mój i wzdychanie.

Matko Boska i z Józefem
Czyńcie to z miłości,
Niech zasypia w sercu mojem
Pan Jezus w cichości.

A ja z Wami niech też spocznę
W niebieskim Syonie,
Bym Was wielbił z Bogiem wiecznie
Po szczęśliwym zgonie. Amen.

Ułożył: Jan **Matuszewski**,
cieśla z Bronikowa. *(R. W.)*

Trzy dęby.

We wsi Strzelbicy stoją niedaleko od kościoła trzy dęby: dwa są sobie jakby rodni bracia, podobniusie do siebie wysokością i grubością a nawet konarami, trzeci zaś wygląda jak staruszek, bo już nie ma kory na nim, a gałązki tylko gdzieniegdzie zielenią się liściem na wiosnę. A jest tam znak widoczny, że stał obok i czwarty dąbek, ale widać upadł podstarzały, a z pniaka spruchniałego niskie tylko wyrastają krzaczki.

Otóż na tym pniaku spruchniałym siadał sobie zawsze jeden dziaduś wsiowy, siwieńki jak len wymiędlony, a maleńki nito jaki chłopaczek niespory, a na dziadusiu płótnianka czysta, obuwie ubogie, a w rękach drzących krzyżyk z Panem Jezusem. I wyśpiewywał sobie dziaduś pobożne pieśni, i mówił słodziutko do przechodzących ludzi:

— Podajcie też biedakowi staremu co nieco, a zapłaci wam za to stokrotnie sam Pan Jezus z wysokiego nieba!

A przechodzili pewnego razu dwaj gazdowie wsiowi Sobek Wrona i Tomek Trznadel, oba dobrzy i pobożni ojcowie, a dla biednego to już tak litośni, że tam i dobra matka nie jest lepszą dla swego dziecka. Stanęli gazdowie przy dziadku, pozdejmowali kapelusze, i słuchali nabożnie słów i śpiewania dziadusia. A gdy dziaduś przestał śpiewać, dobyli oba z pasa kilka groszy, i włożyli mu pocichu do ręki, ale tak, że jeden nie wiedział, co drugi dał. I bardzo dobrze zrobili, bo oni wiedzieli o tem, co powiedział pan Jezus:

— Co dajesz jedną ręką, to rób tak cicho i pobożnie, aby nikt o tem nie wiedział, nawet twoja druga ręka.

Dziaduś wsunął pieniążki do torbiny, pocałował trzy razy krzyż pana Jezusa, podziękował gazdom za jałmużnę i westchnął sobie:

— Oj Boże! Boże sprawiedliwy, co się to nie dzieje na tym świecie Twoim! Tak to bywało i z temi drzewami niememi gdzie teraz siadam i o jałmużnę proszę!

Na te słowa popatrzyli się gazdowie Sobek i Tomek na trzy dęby i zapytali dziadusia:

— I cóżby to takiego dziwnego miało być z temi drzewami. Taćto nie w jednem miejscu rosną sobie drzewa tak trzy po trzy, a tu mogła stać kiedyś jaka kaplica, bo niedaleko od kościoła?

A dziaduś odpowiedział:

— Prawda to co mówicie, ale ja od dawnych ludzi słyszałem całkiem co innego o tych dębach, i nawet coś bardzo strasznego.

Więc na to odezwał się Sobek:

— A to nam też opowiedźcie ciekawości o tych drzewach, a my posłuchamy chwilę. Boć to dziś niedziela, to jest trochę czasu wolnego po nabożeństwie.

I posiadali sobie gazdowie koło dziadka, a on tak im opowiadał:

— Widzicie moi dobrzy ojcowie, za dawnych czasów, jeszcze za polskich królów, były inne kościoły, a cmentarze bywały także w innych miejscach jak teraz. Otóż i tu na tem samiutkiem miejscu był cmentarz a teraz ani śladu dawnych grobów, teraz idzie tędy droga, po której ludzie jadą i chodzą, i nikt nie wie o tem, że tu kości ludzkie leżą. Bo znikomem jest wszystko na tej ziemi, i jak ten cmentarz przeminie! — I westchnął sobie stary dziaduś i tak ciągnął dalej: — Otóż widzicie był to cmentarz a wielki, gdyż chowano na nim umarłych z kilku wsi naraz: ze Strzelbic, a oprócz tego z Bonarowy i z Gdulki, i het tam z za lasu przywozili tu na pogrzeb. Otóż to w tej Bonarowy siedział sobie jakiś bogacz, któremu było na imię Kuba, a nazwiska jego już nie pamiętam. Miał on budynki nito dwór jaki, a bydła aż do sta sztuk, i wszelkiego dobytku po pas. Jeno to wszystko było znać od Boga przeklęte, bo jak się zeszło, tak się i rozlazło. Jak jeno pomarł Kuba i został po nim syn, to tak marniało wszystko, jakby kto zabierał i wynosił albo w grób kładł i ziemią przykładał.

Powiadali ludzie, że ów bogacz Kuba miał przed skonem zawołać syna do łóżka śmiertelnego i coś mu tam opowiadał do ucha, ale nikt nie wie dotąd co to było? A skoro umarł, to go tu pochowali pięknie jak bogacza i odbył się pogrzeb cicho i ładnie. Ale nie tak było kiedy umarł syn Kuby; było

to może jakie siedmdziesiąt lat później jak syna grzebali na tem miejscu, a dziwa się działy po jego pogrzebie.

Zakaszlał się dziaduś i przestał na chwilę, a gospodarze zaciekawieni pytają:

— I jakieżto dziwa?

Więc dziaduś tak rzecz ciągnął dalej:

— Na pogrzebie syna Kuby było luda co nie miara, bo on jeszcze był dosyć bogatym kmieciem, a księży było aż czterech i prowadzili go z chorągwiami i ze światłem, jakby pana jakiego. Spuścili trumnę do grobu, dzieci i wnuki postawiły krzyż poświęcony na grobie i posadziły młode drzewka, i wszyscy się rozeszli z pogrzebu. Aż tu za kilka dni dają znać, że się grób cały zapadł, a krzyż się złamał....

A Tomasz przerwie dziadkowi, mówiąc:

— No, to jeszcze nie cud, że się grób zapadnie, bo to się nieraz trafia, jak wieko trumny pęknie, a wtedy może się łatwo i krzyż postawiony złamać.

— Jak wy gadacie — odpowie dziaduś — tak samo gadali i ci, co do grobu przyszli i widzieli, że jest zawalony. Oni zarównali go na nowo, krzyż nowy drewniany postawili i znowu młode drzewka posadziwszy, zmówili pacierz i odeszli. Ale nie długo to trwało; grób się po drugi raz zawalił i krzyż się złamał, a drzewka ziemia przysypała. Wtedy padł na niektórych strach, ale inni mówili, że to ktoś przez złość robi, i znowu szli grób poprawić i drzewka nasadzić.

— No, i cóż się dalej stało? — zapyta Sobek.

— A co by się stało innego — rzeknie dziaduś — grób się trzeci raz zapadł i drzewka razem z nim, a wtedy już nikt nie wiedział, jak sobie to tłómaczyć, bo grobarz pilnował cały tydzień grobu i nikogo na cmentarzu nie widział, a grób się pomimo tego zapadał.

Więc Tomasz się na to odezwie:

— To robił pewnie Pan Jezus za jakieś winy, o których ludzie nie wiedzieli, ale on wiedział i karał nawet umarłe ciało.

A dziaduś na to:

— Oj, za winy! za winy! i to za wielkie winy, boć gadano mi, że ten Kuba bogacz, a osobliwie jeszcze jego ojciec,

pozabierali gruntu i łąk nie mało to kościołowi, to dworowi, to jakimś tam sierotom, i z tej zbieraniny wystawili sobie jakby folwark i zostali z cudzej krzywdy bogaczami na całą Bonarowę i na całą okolicę. Więc jeszcze wnuka karał za to Pan Jezus sprawiedliwy i grób jego trzy razy się zapadał i krzyż się łamał, a nawet drzewka młode pousychały na grobie. Toż przelękły się bardzo pozostałe dzieci, aż się pochorowały i umarły niektóre, a jeden syn najstarszy między niemi wyznał wszystko, co mu ojciec konający do ucha powiedział.

— I cóż to było takiego? — zapytali gospodarze.

— Oto widzicie, każdy konający nakazywał dzieciom, aby te krzywdę naprawiły, a żadne z dzieci nie miało Boga w sercu i nie wypełniło rozkazu konających: więc sam Bóg ich karą zmusił do poprawy. Odebrany grunt ofiarowano na szpital wiejski, a gdy tak wszelka krzywda została naprawioną, natenczas sprawiły dzieci nowy pogrzeb wszystkim ich ojcom zmarłym i postawiły krzyże na grobach, a na ostatnim grobie, co to się zapadał, nasadziły te trzy dęby, które się dopiero teraz przyjęły i urosły, i dotąd tu stoją na naukę ludziom, aby pamiętali, co to znaczy cudzy grunt, co znaczy krzywda bliźniego!

Skończył dziaduś o dębach historję, a wiatr zaszumiał po liściach tak żałośnie, jak gdyby płączący. Więc dziaduś pocałował znowu swój krzyżyk z Panem Jezusem, a gazdowie oba się przeżegnali i zmówili pacierz za dusze umarłych.

A wam grzesznicy niech te dęby będą napomnieniem, abyście nie pragnęli cudzej łąki, ani lasu, ani gruntu, aby kiedyś waszych grobów nie burzył Pan Jezus, który krzywdę ludzką jeszcze w pokoleniach karze!

Ks. Wojciech z Medyki.

Sztuka na sztukę.

Ucieszna przygoda.

Pewien bogaty pan, chcąc syna swego ze światem obeznać, dał mu pieniędzy, sługi i cugi i w dalekie wysłał kraje, a sam będąc bardzo przesądny i nierozsądny ostrzegał, aby z pomiędzy wszystkich ludzi, szczególniej łysego i rudego unikał.

Długo paniczowi był dom w pamięci, głęboko utkwiły ojca przestrogi; całe je drogę rozważał, wreszcie wzięła go chętka o ich prawdzie przekonać się, byleby tylko nie wiele go to kosztowało; ale mu się nie wydarzyła do tego sposobność w całej podróży. Dopiero gdy po paru latach wracał do domu, przypadło mu nocować w jednej dosyć porządnej karczmie, w której napotkał od dawna upragnionego człowieka.

Uważając na przestrogi ojca, znajomość zabrał z karczmarzem rudych włosów, i dłużej jak należało w karczmie zabawił.

Rad mu był karczmarz, nadskakiwał jak mógł, a panicz nadęty, zadowolony zupełnie i przesadzonemi tytułami i uniżonością gospodarza, „dobrze, dobrze,“ na wszystko odpowiadał. Dano wieczerzę, nazajutrz śniadanie i obiad, wszystko wyborne, bo podobno karczmarz był kiedyś kucharzem. Wychwalał wszystko panicz; wreszcie, gdy mu pochwał brakło, oddychając sobie zawołał: dukata warta łyżka takich potraw!

Szczwany karczmarz z boku każe swej służącej rachować łyżki zjedzonych potraw. Rachowała i narachowała ich nie mało, chociaż nie wszystkie, bo się opóźniono z liczeniem. Po obiedzie, panicz kontent, że mu się ze strony onego człowieka nic złego nie wydarzyło, w dalszą zabierać każe się drogę, a zadarłszy głowę do góry:

— Co się za wszystko należy? — zapyta.

— Sto dukatów — rzekł gospodarz — według własnej ceny pańskiej.

— Jakto? — zawołał panicz.

— A tak — odpowiedział karczmarz — sameś pan powiedział, że łyżka strawy warta dukata; takich łyżek zjadłeś pan sto, według rachunku mojej służącej, spodziewam się więc, że pan słowa nie cofniesz, i co się należy, zapłacisz; prócz tego to i to jeszcze do zapłacenia.

Przeląkł się młodzieniec na nieludzkie i przesadzone żądanie karczmarza; lecz że wszystkie tłumaczenia i nawet prośby były daremne, zaś gotowizną długu zapłacić nie był już w stanie, powóz i konie w karczmie zostawić musiał, a sam pieszo puścił się ku domowi.

Gdy tak idzie piechotą, spotyka powóz, a w nim łysego. Na taki widok rozgniewany i drogę i nieszczęście swoje prze-

klinając, ucieka w krzaki, bo sobie przypomniał, że mu ojciec i łysego strzedz się kazał.

Widząc to łysy zadziwił się bardzo, i kazał gonić panicza. Przyprowadzono nieboraka. Z trwogą i wstrętem opowiada swoje położenie i przestrogi ojca. Słucha go łysy spokojnie, z niejakiemś jednak ubolewaniem.

Nakoniec, nie odpowiedziawszy na to wszystko ani słowa, każe paniczowi wsiąść do powozu i prowadzić się do karczmy.

Gdy byli blisko wsi, w której to nieszczęście spotkało młodzieńca, kazał łysy stanąć i wysiąść paniczowi, i czekać pode wsią na zawołanie; sam pojechał do karczmy.

Wszedłszy łysy do izby gościnnej, po zwykłem przywitaniu, gdy ujrzał na ścianie wiszącą ćwiartkę skopowiny, klepie karczmarza po łopatce i pyta się w obec wszystkich przytomnych:

— Co kosztuje ta ćwiartka? —

— Dwa złote — odpowiedział zapytany, nie miarkując że ów ma nie skopową lecz jego łopatkę na myśli. Płaci mu zaraz łysy dwa złote, a na służących woła, aby schwycili karczmarza i wykroili mu łopatkę czyli ćwiartkę, którą on kupił.

Posłuszni rzucili się na gospodarza; bronił się nieborak jak mógł, że on przecie nie swoją sprzedał łopatkę, ale skopową, na ścianie wiszącą; ale łysy nie przyjmował żadnej wymówki i kazał nóż pchać za skórę karczmarzowi.

Widząc że to nie przelewki, chce swoje okupić i tyle zapłacić coby od niego żądano; a wtem mu łysy przypomina obejście się jego z podróżnym paniczem. Przyznał się do wszystkiego i obiecał oddać co mu się należało, nic sobie nawet za sto łyżek potraw nie rachując, byleby mu tylko dali pokój, i wolno puścili.

Łysy przystał na to; kazał zawołać z pode wsi zestrachanego panicza, a oddając mu powóz i konie, to ojcu dla przestrogi powiedzieć kazał: żeby na drugi raz był mądrzejszy a łysych i rudych nie sądził źle, bo między nimi trafi się zły człowiek jak między wszystkimi, ale Pan Bóg nikomu do koloru włosów ani do łysiny nie przywiązuje dobroci albo nieuczciwości, i największa obraza boska, kiedy kto z powierzchowności albo ułomności ciała o drugim źle sądzi.

Zkąd to ziemniaki?

Pogadanka gospodarska.

(Dokończenie.)

— Jest jeden kraj od zachodu i północy, cały dokoła morzem oblany, który się zowie *Anglja*. Owóż z tej Anglji jeździli już ludzie oddawna w różne strony świata, więc jeździli też i do *Ameryki*, która zgoła po drugiej stronie ziemi naszej leży. A będzie temu lat blisko trzysta, jak żył w angielskim kraju pewien sławny żeglarz, *Drake* imieniem, który dużo świata zwiedził, i niejedno morze okrętem przepłynął. Otóż ten Drake będąc w Ameryce uważał, że tamtejsi ludzie jakiemiś okrągłemi korzeniami się żywią; więc z ciekawości pokosztował i on tego jedzenia, a bardzo mu się smacznem wydało.

— To pewnie były ziemniaki! — zawołał Antek wściubski.

— A tak jest, ziemniaki — odrzecze Maciej — które w Ameryce dziko rosną, i już z dawna ludziom za pożywienie służą. Co widząc Drake, pomyślał sobie, czyby też i w jego ojczyźnie w Anglji ziemniaków zaprowadzić nie można? Niejednej biedzie łatwo by się tem wygodziło, myślał on sobie, a że to u niego od myśli do roboty nie było daleko, więc zebrał nasienia ze ziemniaków i posłał jednemu ze swych przyjaciół do Anglji, pisząc mu, żeby to sadził i pielęgnował, bo roślina ta jest smacznem dla ludzi pożywieniem.

Przyjaciel w Anglji dostawszy od Drakego szczególne nasienie, uradował się bardzo, zasiał, pielęgnował, i niebawem doczekał się ziemniaków: badyle wyrosły, a na nich wisiały bomble gdzie to są nasiona; lecz zjedzże grzecha, nie wiedział co się je, czy te bombelki z kwiatów powstałe, czy liście z badyli, bo mu nie było wcale wiadomo, że trzeba kartofli w ziemi na korzeniach szukać. Oglądał i przemyśliwał, aż nareszcie przyszedł do tego przekonania, że to owe bombelki na łodygach wiszące są do jedzenia. Jakoż w jesieni, gdy już wszystkie pożółkły, kazał pozrywać i przyprawić, zaprosiwszy mnóstwo gości do swego domu na ucztę. Nazjeżdżało się tam panów wielkich z całej okolicy jakby na dziwy jakie. Gody były sute i czas wesoło schodził. Raczyli się tem i owem, aż

nakoniec przyniesiono nakrytą miskę z mniemanemi ziemniakami. Każdemu robiła się ślinka, bo wszystko czyniono skrycie. Tedy powstaje gospodarz i z wielką radością wychyla kielich wina i prawi długą mowę, w której opisuje, że ten owoc dostał od sławnego żeglarza Drake w podarunku, z tem jednak dodatkiem, że uprawa tej rośliny dla Anglji wielkie korzyści przynieśćby mogła.

Wszyscy goście powstali i jęli wywijać szklankami, podnosząc głośne wiwaty i życząc handlowi morskiemu wielkiego powodzenia. A trzeba wam wiedzieć, że Anglja, co się tyczy przemysłu i handlu, bardzo wysoko stoi i jest nader bogatą, bo gdzie idzie tylko o handel i zysk, to się ludzie mocno upierają i robią z lichych nawet rzeczy majątki. Mają zatem odwagę i wytrwałość, a co najlepsza, to że ich kraj jest w około wodą oblany, więc prowadzą dobry handel na morzu.

Lecz wróćmy do swojego. Owóż owi goście widząc znowu jeden środek do zarobkowania, spijali wino szklanka za szklanką, aż nakoniec poczęli próbować onych bombli nibyto ziemniaków, które omało nie pływały w maśle; a ponieważ kucharz nie umiał nadać im smaku, obsypał je mocno cukrem i cynamonem. Ależ wystawcie sobie, jak tu takie dziwolągi jeść było? Smak był obrzydły, sprawiał jakąś odrazę, szkoda więc było przyprawy: cukru, korzeni i drogiego wina, które dlatego spijali, aby zmyślone ziemniaki tym łatwiej połykać. Więc osądzili panowie, że musi w ich kraju być za zimno dla tej rośliny, że może ona by się w Afryce, gdzie to ogromne gorąca i spiekoty, udała, ale tu ani rusz! I długo sobie tam jeszcze łamali głowy, sięgali do nich po rozum, radzili i radzili, ale nic wyradzić nie mogli.

— Oj Boże! a cóż to za głupcy! — ozwie się Antek — tać u nas mały bęben sadzić i zbierać umie, a tem bardziej wie co ma pożywać!

— Jakiś ty mądry Antku, skoro cię nauczyli — odezwie się Maciej — a im nikt nie mówił co się zjada a co nie! Lecz posłuchaj dalej.

Takie zaprosiny dużo pana gospodarza kosztowały, i zamiast co się miał cieszyć i weselić, zesmutniał srogo, a nawet

zezłościł się haniebnie, bo kazał badyle i wszyściuteńko z kretesem powyrywać i natychmiast do diabła wyrzucić. W tem pewnego poranku idzie sobie do ogrodu na przechadzkę, i widzi w utłumionym ogniu, który ogrodnik był wzniecił, czarne okrągłe owoce niby jabłka. Rozgniótł jedno i zobaczył, że było w środku bielutkie, i gdy go wziął do ręki, zawionął na niego miły zapach, że pan aż osłupiał, nie wiedząc co by to było. Pyta więc ogrodnika:

— A z kąd to te owoce? —

— A ze ziemi, łaskawy panie! —

— A cóż one tam robiły? —

— A rosły, wisząc na korzonkach onych nowych roślin, co je to panu przysłano.

Teraz dopiero rozjaśniło się w głowie pana, który poznał jakiego starania uprawa ziemniaków potrzebuje. Domyślił się, że Drake w prędkości zapomniał mu napisać, że owoc ziemniaków na korzeniach rosnący jest do jedzenia. Kazał tedy wszystkie ziemniaki co do jednego pozbierać i przyrządzić, poczem zaprosił znowu panów na ucztę, sam wprzódy potrawy spróbowawszy.

I tą razą wniósł gospodarz ziemniakom na zdrowie, i trzymał długą przemowę, w której było, że gdy człowiek nie tylko przy ziemniakach, ale i przy innych rzeczach o tem tylko sądzi, co na wierzchu się znajduje, a o szczegóły dalsze i głębsze dociekanie przedmiotu się nie troszczy, często gęsto mocno pobłądzić może.

Po tych słowach wniesiono znowu ziemniaki na stół, ale tą razą pożywne i tak smaczne, że się ich wszyscy odjeść nie mogli. Wszyscy zdumiewając się wołali wiwat i chwalili Drakego, każdy prosił o nasienie i każdy jął uprawiać. Tym sposobem rozpowszechniły się wnet ziemniaki po Anglji.

Spyta mię teraz nie jeden: a jakimże sposobem z tak dalekiego kraju ziemnaki do nas przybyły? Oto widzicie, Anglicy stręczyli tę roślinę swoim sąsiadom, ci drugim, aż też one nareszcie i do nas zabłądziły. A choćby i tym sposobem dostać się nie mogły, to możni panowie sami po za granicę państwa jeździli, lub też uczonych posyłali, a ci co mogli, to do kraju

zwozili. A zatem najprzód panowie tę roślinę chodować musieli i to nie w polu zaraz, ale w ogrodzie za szkłami, bo to były dziwy, które oni sobie za wielki mieli przysmak. Nie ma więcej nad sto pięćdziesiąt lat, jak ziemniaki zaczęto do nas do Polski sprowadzać. Sprowadzili je koloniści Sasowie, co za królem Sasem podonczas gęsto do nas przyciągali, najwięcej w okolicach Warszawy się osiedlając. W pięćdziesiąt lat później upowszechniły się już były znacznie; sadzili je mocno po ogrodach, a niejeden już prowadził je na pole. Pierwsze ziemniaczki nasze były czerwone, średniej wielkości; później dopiero nastały inne gatunki.

— Proszę was Macieju, więc to dopiero sto lat, jak u nas ziemniaki gęściej sadzić poczęli? — zawołała Katarzyna, która pilnie wszystkiego słuchała.

— A nie więcej moja kumo, nie więcej! Z początku to tam drożyli się z tem i sprzedawali na funty, jak gdyby wielkie przysmaki. Sadzili je po ogrodach ogrodnicy i posyłali na pańskie stoły; aż nareszcie jęli się i chude pachołki temu przypatrywać, jeden się uczył od drugiego, sadził i spożywał, trzeci zaś nie dowierzał i nie chciał robić próby, i tak to powoli się rozpowszechniało. Powoli, bo zawsze tak bywa, iż jedni na drugich doświadczeniu się uczą. Każdy się uczy aż do samej śmierci, bo wszystko postępuje; uczmyż się i my dalej, a nie chciejmy brnąć w lenistwie i uporze; słuchajmy zawsze rady starszych i mędrszych od nas, bo oni wiedzą, co nam radzą, a wiedzą to już z doświadczenia. Wszystko co widzicie, nie od razu, lecz z czasem powstawało, z czasem rosło i podobnie się doskonaliło; i ludzie też z czasem wszystko poznawali i pożytkowali przy pracy i pilności.

Powoli tedy, zakosztowawszy dobrej potrawy w ziemniakach, jęli je ludzie z wielkiem staraniem sadzić i uprawiać, w skutek czego tak się rozmnożyły późniejszemi czasy, że już nikt ich nawet jeść nie chciał i przezywano je ziemniaczyskami, bo im się niby przejadły. A wtedy Bóg sprawiedliwy, widząc taką zniewagę, ukarał ludzi na naukę, by dary boskie szanowali i spuścił nieurodzaje na ziemniaki, których i coraz mniej było, i jeszcze do tego się psuły.

Lud widząc, że głód zagląda już do chałup, począł szlochać i prosić Boga, by znów dał dobre plony. I uprosili przecie to, że ziemniaki znowu się pięknie rodziły i nie niszczały. Jeszcze i podziśdzień się wydarza, że się ziemniaki psują, a ztąd widno, żeśmy przewinili i gniew Boski jeszcze na nas ciąży. Błagajmy więc za grzechy nasze Pana i dziękujmy Mu zawsze za Jego Opatrzność i dary, któremi nas wzbogaca; nie gniewajmy Go nigdy, bo On nam opieki swej odmówi; kochajmy ziemię, która nam je rodzi, dając tym pokarmem ciału czerstwość, zdrowie i siły. —

Tu Maciej przerwał swoje opowiadanie, bo się już pociemniało na dworze, pożegnał wszystkich oddawszy Panu Bogu i poszedł swoją drogą, a wszyscy słuchacze rozmawiając, także szli do domów.

Na szczęście i ja tam byłem, jak Maciej opowiadali, a spamiętawszy sobie co do słowa, spisałem to w domu, a potem posłałem do Dzwonka, abyście i wy wiedzieli co nieco, zkąd to ziemniaki.

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Śmierć z pijaństwa. Jeszcze z początkiem zeszłego miesiąca znaleziono pod wsią *Dawidowem*, niedaleko od nas, zwłoki jakiegoś człowieka, o którym mówiono, że mu żydzi krew z rąk i nóg na mace wypuścili. Co mądrzejszy, zaraz sobie miarkował, że to próżna bajka, bo gdzieżby żyd, co jest tak dobrze człowiekiem jak i chrześcianin, krew ludzką miał wypijać? To tylko zapaleni nieprzyjaciele żydów taką fałszywą wieść o nich puścili, a niejeden co o tem zasłyszy, to już zaraz i uwierzy jakby w pismo święte. Owóż fałszywość puszczonej bajki okazała się i przy tym trupie. Trup ten nie miał na sobie żadnych ran tylko sińce od potłuczenia powstałe i prawe ucho odgryzione. Po oglądnięciu zwłok przez lekarzy i urzędników, pokazało się, że to był gospodarz z *Szołomyi* nazwiskiem *Łućko Bołkot*, który w skutek spojenia się gorzałczyskiem w drodze do domu paraliżem tknięty, upadł, a gdy nie było z nikąd spiesznego ratunku, skonał na miejscu. Kawałek prawego ucha odgryzło mu zapewne jakieś drapieżne zwierzę.

Straszny ten wypadek nagłej śmierci, bez spodwiedzi i wszelkiego rozporządzenia, powinien być surową przestrogą dla wszystkich pijaków, którzy bez pamięci na Boga i na żywot wieczny, duszę swą djabłu przepijają.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.